Nr. 26. Rok I.



NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

Cena prenumeraty: kwartalnie w miejscu 15 sbr., na prowincji 18 sbr. 9 fen., w Krakowie i Lwowie 1 złtr. 20 c., w Galicji i w innych krajach austrjackich 1 złr. 40 c.

Poznań, 24 Czerwca 1871.

Redakcja przy ulicy Berlińskiéj Nr. 14.
Ajencje: Lwów: Milikowski, Gubrynowicz i Schmidt. Kraków: Friedlein, Józef Czech.

TREŚĆ:

OD REDAKCJI.

Sześć miesięcy minęło od wydania programu naszego pisma, w którym przyobiecaliśmy odzwierciedlać ruch umysłowy i społeczny **całéj** Polski, ze szczególném uwzględnieniem potrzeb i działalności **naszéj prowincji.** Kładliśmy główny nacisk na nasz kierunek naukowy.

Wywięzując się z przyrzeczenia zebraniem w łamach naszych w ciągu sześciu miesięcy szanownych prac archeologicznych i filozoficznych Dra Karola Libelta, prawnych Dra Olendzkiego, — psychologicznych J. Ochorowicza, — monografji okolic kraju Walerego Eljasza, — w części literackiéj: udziałem p. Pauliny z L. Wilkońskiéj, pp. J. I. Kraszewskiego, Wł. Sabowskiego (Wołodego Skiby), Józefa Narzymskiego, — oraz powszechnie cenionych poetów: Henryka Merzbacha, Wład. Ordona i Wład. Bełzy, — wreszcie w części artystycznéj utworami muzykalnemi pp. Hertza, Dembińskiego, Danysza, Borozdina, Połczyńskiego, — co wszystko przeplatały korespondencje z Warszawy, Krakowa, Lwowa i różnych miejsc naszéj prowincji, — widzimy z pociechą przy końcu półrocznego istnienia naszego pisma, że liczba abonentów jego i szereg prac, nagromadzonych w naszéj tece, dobrą przyszłość mu wróży.

Możemy więc **żyć**, — ale chcemy żyć i działać w **pełni, szerszym zakrojem.**

Dla tego, wolni od zarzutu widoków spekulacyjnych, a przejęci chęcią utworzenia z **Tygodnika Wielkopolskiego skarbca prac najcelniejszych naszych pisarzy** i obdzielenia tą komunją duchową jak najszerszego koła czytelników, wzywamy Szanowną publiczność o jak najliczniejszy udział w prenumeracie, który pozwoli nam rozszerzyć ramy naszego pisma i podnieść je do takiego stopnia popularności i wartości, jakiego nasza gorąca żądza służenia krajowi pragnie.

Przedpłata ćwierćroczna wynosi **15 sgr.** dla **miejscowych**, **18$^3/_4$ sgr.** dla **zamiejscowych abonentów. Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w ekspedycji Dziennika Poznańskiego.**

Filozofja natury

przez

Henryka Levittoux,

krytycznie przedstawiona

przez

Karola Libelta.

(Dalszy ciąg).

i) Bóg i natura. Nieśmiertelność duszy.

Stosunek Boga do natury jest jednym z najtrudniejszych traktatów niniejszéj filozofji natury; a trudność leży w aforyzmowym sposobie wyrażania się autora. Rzuca zdania, jak artykuły wiary, ale ich nie udawadnia, ani jako konieczne następstwa z pewnych danych nie wyprowadza. Niejedna w tych aforyzmach błyszczy myśl świetna i genialna, ale całość tych zdań, niech mi autor daruje, jest chaotyczna. Mało będzie takich, co ten traktat zrozumieć będą zdolni.

Myśl przewodna i wypadkowa tego opracowania jest ta, że Bóg jest uznaniem siebie samego w całéj naturze; że Go tylko w dziełach jego widzimy, a rozumiemy w ogromie stworzenia; że człowiek o tyle tylko pojmuje samego siebie i naturę, ile ma bóstwa w sobie. Autor jest tego zdania, że jest w mocy intelligencji ludzkiéj dać wierne pojęcie siły, materji, ducha, a ostatecznie Boga, o czém wszystkiém dotąd nie miano jasnego wyobrażenia.

Siła w Bogu poczęta, gdy przechodziła do czynu, objawiła się ciepłem, światłem i elektrycznością, a miała namaszczenie mądrości bożéj we wszystkich swoich działaniach. Przechodząc w atom była łącznikiem świata idei z materją; jako para atomów stała się zawiązkiem materji, i powstał świat cały w rozmaitości form, będących metamorfozą zawsze téj saméj siły; z czego tłomaczy się powrót, drogą metamorfozy wstecznéj przez atom i stan nieważki, do siły, do idei, do Boga. Jest to nieśmiertelność w najogólniejszém jéj znaczeniu.

Jeżeli siły proste, trzymające ciała martwe w kupie, są w spoczynku, stanowią ich utajone światło i ciepło, które się objawiają, gdy owe siły przechodzą w czyn, to jest, kiedy układ pomiędzy atomami danego ciała zmienia się. Podobnie siła organiczna nieczynna dzierży cząstki organizmu w całości; skoro jest w czynie, sprawuje ruch, krążenie soków, życie. Nakoniec intelligencja w stanie spoczynku jest snem i bezwiednem dzierżeniem elementów materji, w działaniu jest mądrością, jest duszą. Wszędzie więc panuje ta sama mądrość stwórcza, przez siłę się wyrażająca, raz mniéj, drugi raz więcéj rozwinięta.

„Mamy więc po raz pierwszy kwestję materji, siły, stwórcy, stworzenia, nieskończoności i skończoności, o ile wolno człowiekowi, z woli Bożéj wyjaśnioną“ (str. 327).

Czy po raz pierwszy i czy rzeczywiście kwestje te ogromnego znaczenia zostały wyjaśnione, wątpićbym sobie pozwolił. Do wyjaśnienia materji i siły, stwórcy i stworzenia, nieskończoności i skończoności, potrzeba nieskończenie więcéj nad te ogólnikowe szczegóły, które nam autor podał. Wskazaną chyba niemi droga, którąbyśmy do poznania tych metafizycznych przedmiotów dojść mogli.

Autor nie wyróżnia ducha od duszy. Filozofja nowsza nie odmawiała zwierzętom, roślinom a nawet tworom martwym duszy, ale im zaprzeczała ducha nieśmiertelnego, który człowiekowi tylko właściwy. Dla autora duch jest tylko najwyższą metamorfozą siły, objawiającéj się w mózgu. „Duch jest siłą dzierżącą cząstki elementarne materji szaréj mózgu w momencie jéj drgnięcia do czynu, w sferze świadomości swego działania jak u zwierząt, a zwrotu w samego siebie, podnoszenia się do moralności, do Boga, jak w człowieku“ (str. 326).

Piękne i wzniosłe daje nam autor orzeczenia o Bogu. Jak n. p.: „Natura jest pryzmą, przez którą się mądrość odwieczna w nieskończoności swoich przymiotów zawsze cała objawia. Każdy przymiot Boga, jest całym Bogiem. Bóg jest wszystkiém i wszystkiém rządzi; wszystko jest Bogiem, jako z Boga i przez Boga poczęte.“ — Bóg jest nieograniczony w materji skończonéj; jest bez początku w materji poczętéj; niepodzielny w materji podzielnéj; jest wolą rozumną i kochającą w materji zimnéj, milczącéj.“ — „Będąc wszędzie i na każdém miejscu, nie ma początku, nie ma przestrzeni, ani czasu.“ — „Bóg jest jeden; bez początku i bez końca, jest wiecznością.“ — „Nie ma nędznych i szlachetnych stworzeń, wszystkie są w Bogu równe.“ — „Nie odmawiajmy duszy istotom od nas niższym; nie odmawiajmy mądrości i miłości proszkowi; ma on ją we wnętrznościach swoich, w swoich światach, w atomach.“ — „Proch się nie czuje, lecz Bóg się w nim kocha i rozumie“ (str. 328 i 329).

Wyborne widzimy przejście do artykułu o nieśmiertelności duszy, mogące i niedowiarka nawrócić. „Nic w naturze, ani w Bogu przepaść nie może. Ten który czuwa nad włosem spadającym z twéj głowy, miałżeby o najznaczniejszéj twéj cząstce, o twojéj duszy, o twojéj mądrości w miłości, miałżeby o samym Sobie w tobie zapomnieć i Siebie w tym duchu zabijać, czyż mógłby Siebie samego w nicość obracać? Nie trwóż się człowieku o twoją przyszłość, gdyż, czy chcesz, czy nie chcesz, jesteś nieśmiertelny“ (str. 329).

Możnaby wnosić, bo tak jest rzeczywiście, że autor nietylko ludziom, ale i zwierzętom i roślinom i kamieniom, równą przyznaje nieśmiertelność, gdyż wszystko, co jest do pewnéj całości złożone, wszystko co wyszło z siły przez atom do tworu, — wraca znowu do rozkładu, a więc przez atom do siły, do idei, do Boga, — że zatém jest nieśmiertelność tylko ogólnikowa, bezwiedna, a o nieśmiertelności indywidualnéj ducha ludzkiego nie ma mowy. Tak nie jest. Autor z téj okoliczności, że skoro zraniony mózg utraca intelligencję i wszelką wiedzę, a odgojony przywraca ją znowu w całéj dawnéj pełni, wnosi słusznie, że ta intelligencja, to utajona w skutek rany mózgowéj, to przywrócona w całości, gdy mózg, narzędzie ducha, dawny swój układ odzyskał, musi być czemś wyrobioném, indywidualném, osobną wiedzą, osobnym rozumem, osobném ja, które ze śmiercią człowieka wraca w téj indywidualności swojéj do Boga, jako źródła i potęgi wszelkiéj intelligencji.

Naturalnie że z teorji pana Levittoux wypada, że takiéj indywidualnéj nieśmiertelności dobierać się muszą wszystkie inne twory, tak organiczne jak nieorganiczne, i że w łonie Boga, do którego wszystko wraca, co powstaje i powstało, jest żywot nieśmiertelności wszego świata przeszłości. „I kamień, jak powiedziałem, jest w zasadzie mądry i kochający, i że jako siła ma także swoją w Bogu indywidualną nieśmiertelność, że ma w mądrości i miłości swoje przyszłe życie, że je mają rośliny i zwierzęta, ci niżsi bracia nasi z pierwotnéj epoki stworzenia“ (str. 344).

Nieśmiertelność duszy naszego autora różną jest od pojęć religijnych, bo bez względu na życie tuteczne, jest wieczną szczęśliwością w indywidualnym powrocie do Boga. Wyróżnia się przecie od ogólnikowéj nieśmiertelności idealnéj filozofji niemieckiéj, która jak to Michelet wyraźnie wypowiedział, indywidualnéj pozagrobowéj nieśmiertelności nie zna. (Ciąg dalszy nastąpi).

Pod jednym dachem.

Powieść

przez

Wołodego Skibę.

(Ciąg dalszy.)

Konsyljarzowi spadł kamień z serca. Każdy małżonek, któremu się zdawało, że już, już, dla kaprysu żony będzie musiał wyrzucić kilka tysięcy, i gdy się przekonywa nagle, że ten kaprys da się wydatkiem kilku złotych zaspokoić, pojmie błogość, jaka przejęła duszę zacnego Eskulapa. Wyjaśnienie małżonki tak go doskonale usposobiło, iż był gotów w téj chwili uczynić zadość najdziwaczniejszemu jéj kaprysowi, a cóż dopiéro przystać na to, aby małżonka odbywała wycieczki poranne do zakładu wód mineralnych sztucznych, który w Krakowie istnieje rzeczywiście, ale na tak minjaturową skalę, że niejeden z tych, co sądzą, iż doskonale znają miasto, nawet się jego bytu nie domyśla.

Poradził tedy żonie jakiś Obersalzbrunn czy Marjenbad na odpędzenie improwizowanéj migreny, i pani Helena zapowiedziała, że zaraz jutro rano rozpocznie kurację.

— Z kimże pójdziesz? — spytał jéj jeszcze.

— Wezmę które z dzieci, — odrzekła.

I té słowa były balsamem dla doktora, obawiał się bowiem, żeby małżonka nie zażądała jego towarzystwa, gdyż w takim razie jéj kuracja stałaby się nieskończenie dla niego uciążliwszą.

Nazajutrz rano pani Tucka ubrana bardzo skromnie, bez żadnych jaskrawych kolorów, z twarzą zasłoniętą najgrubszą z woalek, jaką posiadała w swym zbiorze, rano o godzinie kwadrans na szóstą opuściła Babią wyspę, nie obudziwszy żadnego z dzieci, pewnie dla tego, że zbyt smacznie spały, i pożeglowała nie ku wodom, jak się łatwo domyślić, ale ku dworcowi kolei.

W „Orzeźwialni“ nie było jeszcze nikogo. Zgniewało to ja trochę, że była pierwszą, ale nie czekała długo.

Wkrótce potém ukazał się jakiś młody i bardzo przystojny mężczyzna, ubrany po podróżnemu. Z pod woalki pani Tucka obserwowała nadzwyczaj pilnie jego rysy, i znalazła go w swoim guście. Dumną była, że jéj a nie żadnéj innéj z Krakowianek danem było zrobić taką dorodną i elegancką konkietę. Przyszło jéj na myśl, że oprócz żądanéj chusteczki godziło się takiemu adoratorowi ofiarować coś więcéj, wydobyła więc z kieszonki jeszcze jakąś pamiątkę, w którą się na wszelki przypadek zaopatrzyła, i zawinąwszy ją w chustce położyła na ławeczce.

Dziwiło ją trochę, że nieznajomy wielbiciel nie korzystał z trafu, który mu nastręczał sam na sam, nie zbliżył się do niéj i nie przemówił... wytłomaczyła sobie jednak, że aby jéj nie kompromitować, bezimienny adorator postanowił zamknąć się ściśle w granicach tego, co napisał w swoim liście.

Wkrótce potém nieznajomy nie mógł już nawet skorzystać ze sposobności, bo do „Orzeźwialni“ wszedł ktoś trzeci, w którym pani Tucka z przerażeniem poznała pana Baltazara Gącińskiego.

Wiadomem było wprawdzie, że pan Baltazar miał krótki wzrok, było więc prawdopodobném, że jéj nie pozna pod woalką, ale trzeba było coprędzéj opuścić „Orzeźwialnię“, zwłaszcza że pan Baltazar nadzwyczaj badawczo się jéj przypatrywał, więc prosty rozsądek niepozwalał wystawiać jego krótkowidztwa na zbyt długą próbę.

Pani Tucka podniosła się tedy i wyszła, zostawiając na ławeczce chustkę-pamiątkę, służącą za zawinięcie innym pamiątkom, drogocenniejszym zapewne i wymowniejszego znaczenia.

Wychodziła powoli, spodziewała się bowiem, że nieznajomy młodzieniec coprędzéj się rzuci po pozostawiony sobie padarek, ale ów nieznajomy stał jak posąg kamienny i w jéj obecności nie myślał zbliżyć się do ławeczki.

Za to gdy już wzrok pani Tuckiéj w głąb' „Orzeźwialni, sięgnąć nie mógł, zbliżył się do pozostawionéj chustki pan Baltazar Gąciński, podniósł ją i rozwinął.

Znalazł wewnątrz książkę ładnie oprawną. Jako człowiek nie mający wstrętu do bibljografji chciał zobaczyć przynajmniéj tytuł, otworzył więc i przekonał się, że to były *Cierpienia młodego Wertera*, na których rączka właścicielki napisała bardzo kobiécym charakterem króciuchną dedykację: „Nieznajomemu — Helena.“

Pan Baltazar nigdy *Cierpień młodego Wertera* nie czytał, nie robił więc żadnych uwag nad stosownością wyboru, ani téż żadnych z niego nie wyciągał wniosków, przewrócił tylko kilka kartek początkowych i znalazł fotogram właścicielki.

Rysy osoby, którą ujrzał na fotogramie, były mu dobrze znajome, choć zrazu nie mógł zrozumieć, kogo mu przypominały. Pani Tucka do fotografji tak się wypoetyzowała, że niełatwo było jéj poznać odrazu, przytém fotograf, widocznie doskonale swoją sztukę znający, dobrał jéj jakąś romantyczną pozę i tak usadził, że portret ani się pozwalał domyślać gospodarnéj mamy sześciorga dzieci.

Panu Baltazarowi żywiéj serce bić zaczynało do tego portretu, roskoszował się nim przez chwilę, zachwycał, a nareszcie poznał kogo przedstawia.

— Pani Tucka, — rzekł w myśli, — jak mamę kocham, pani Tucka... mieszkam z nią już tak dawno pod jednym duchem, i nigdybym się nie domyślił, że jést taka piękna... oczywiście jednak ta chustka, ta książka, ten fotogram dostały mi się tylko przez pomyłkę... mnie przecież nie nazywałaby nieznajomym. Jest w tém jakaś mistyfikacja... trzeba ją coprędzéj dogonić.

Doktorowa, drobnym lecz spiesznym krokiem zmierzając ku zakładowi wód mineralnych, doszła już do plantacji, gdy się do niéj zbliżył pan Baltazar.

Pani Tucka na jego widok zaczerwieniła się pod woalką jak wiśnia.

— Przepraszam panią, — rzekł przystępując i kłaniając się jak najgrzeczniéj, — ale w tém być musi jakaś pomyłka.

— W czém panie?...

— Pani nie pisałaś do mnie listu.

— Ja?... listu?... jakiego panie?...

Pan Baltazar wydobył dokument z kieszeni, i oddał go pani Helenie.

Była to karteczka zawierająca te tylko wyrazy:

„Bądź pan jutro, na półgodziny przed odejściem rannego lwowskiego pociągu w „Orzeźwialni“, przy dworcu kolei żelaznéj. Będę tam i zostawię na ławce chusteczkę, — zabierz ją pan. Więcéj dowiesz się pan, gdy będzie trzeba, tymczasem... milczenie.“

Pismo, którém te słowa były nakreślone, uderzająco przypominało charakter, którym był pisany list otrzymany przez doktorową. (Dokończenie nastąpi.)

STRZASKANA LUTNIA.

Z wspomnień ostatniego powstania
przez
Henryka Merzbacha.
(Dalszy ciąg.)

ἀνάγκη.

Młodzieniec.

Mijały lata młode — lata walk i słońca.
Rozwijała się dusza pod płomieniem marzeń —
Marzenia bez początku śniły świat bez końca —
A świat ten był kościołem nieskalanych wrażeń!

Młodości! ty najświętszy wszystkich słów wyrazie!
Twa odwaga zdumiewa pobitych rycerzy —
Ty jedna na twych natchnień skrzydlatym pegazie,
Wierzysz w swoje zwycięzstwo... bo któż ci nie wierzy?...

Cierpienia znosisz dumnie — nędza cię nie łamie. —
Bo duszę masz z błękitów a z piorunów ramie!
Jak Eljasza, tak świetna twa do niebios jazda!

Młodości! wszystko ścierpisz, przepłaczesz i zniesiesz —
Całe niebo na barkach olbrzymich uniesiesz...
Nad skronią twą zawisła nieśmiertelna gwiazda!

* * *

Pod cieniem palm i cytryn, w roskoszném uśpieniu,
Kołyszą się dwie dusze i dwa serca płoną —
Dwa kratery — dwa słońca — w tajemniczym cieniu
Zlane w jedno gorące oblubieńców łono...

W koło kwitną granaty i oliwne drzewa —
Ptak rajski się namiętnie na gałęzi zwiesza...
Szczęśliwy pastuch zdala pieśń wieczorną śpiewa —
I dzwon wieczorny serca strapione pociesza!

Znużone słońce spływa na gór spiekłe łoże...
Powiernik nocy, księżyc, z głębin oceanu
Idzie tęskny i blady na niebios przestworze...

W około cisza rzewna jak cisza kurhanu...
Jedno tylko pytanie wznosi się ku Panu:
Czy człowiek tyle szczęścia na raz przenieść może?...

* * *

O, może! Serce tylko z wielkich bólów pęka!...
Używajcie, dopóki dla was lata wieszcze —
Dopóki w silnéj dłoni drży kochanki ręka —
Dopóki czyste serce umie kochać jeszcze!...

Używajcie! Pierś młoda jak przezrocza fala
Odzwierciedla w swéj głębi niebo i świat cały —
I jedném się spojrzeniem jak wulkan zapala —
W jednéj chwili przeczuwa wieków ideały!

O, bo miłość, wszechwładną potęgą płomienia,
Posągi Fidjaszowe w zrąb gliny zamienia,
Albo bogi odlewa z zimnego kamienia...

Gdy święty wyraz — „kocham“ — kochanka wymawia,
Ten wyraz ją na szczycie całych wieków stawia;
Bo miłość nie zna granic: gubi lub wybawia!

* * *

Tak! Ona piękną była, gdy pod palmy cieniem
Okiem tylko mówiła do niego, milcząca —
A morze szumem rzewnym, a las ptasiem pieniem
— Powtarzały te szepty bez końca — bez końca...

I nikt im nie przerywał tych snów nieprześnionych.
Nawet księżyc ciekawy krył twarz po za chmury —
Nawet gwiazdy swych spojrzeń miłosnych, stęsknionych
Nie rzucały na lubych związane kontury...

Znużeni kochankowie, marząc w pośród kwiatów,
Szczęśliwi! nie zazdroszczą niebiosom bławatów...
Lekki zefir westchnieńmi roskoszy powiewa

I na skroni gorącéj, Beatryczy kona ..
On lutnię i kochankę przyciska do łona,
I przy biciu jéj serca taką pieśń jéj śpiewa:

* * *

„Czy znasz kraj ten, kędy łkania budzą grobów ciszę?
Stamtąd słyszę jęk konania i łzy matki słyszę...
Tam walczących widzę braci — ja ich walk nie dzielę...
Ale za to wszystko płaci twój uśmiech, aniele!

Czy znasz, luba, na północy, kędy Wisła płynie,
Kraj więzienia, kraj przemocy, gdzie mój naród ginie?
Tam mordują moich braci klęczących w kościele...
Za to wszystko hojnie płaci twój uścisk, aniele!

Czy twe ucho tam zdaleka słyszy przekleństw słowa?...
Tam mnie woła, na mnie czeka matka zagrobowa.
Ja u nóg twych, zdala braci, wonne kwiaty ścielę...
Shańbionemu za to płaci twa wzgarda, aniele!!!

Skończył... zaśmiał się szalenie — dusza z żalu jękła.
Rzucił harfę — brzękły struny... lecz żadna nie pękła...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

KRONIKA TYGODNIOWA.

Żywy ogień spada z nieba. Przez zielone story przebija się natrętny promień słońca do mojéj izdebki i robi z niéj istną wenecką piombinę. W słonecznym promieniu drga i lśni się pył złocisty, rozbity na tysiące atomów. Duszność jakaś i cisza rozpalona wiszą nademną. Pierś oddycha ciężko; słodkie i przykre razem rozemdlenie obezwładnia myśl i ciało!... Po krwi biegają iskry, a jedna wyobraźnia tylko w téj tropikowéj atmosferze wysoki biorąc polot, kreśli obrazy pełne gorączki... Jak tu pisać?! A jednak trzeba! Odpędzam bezcielesne widma et je reviens à mes moutons. Tak jest, wracam do baranów... t. j. do najbliższéj rzeczywistości. —

Jarmark wełniany, pożegnany rzewliwym chórem handlarzy i przemysłowców, skończył swoje... świętojańskie istnienie... Jak lampa bliska zgaśnięcia, rzucił jeszcze przed skonaniem kilka świetnych błysków, napełnił loże teatru, wzruszył echem namiętnego walca sklepienia sali u Sterna, — i wśród ulewnego deszczu zakończył się procesją makintoszów na pocztę i na koléj! Widziałem go, jak z opuszczoną smętnie hiszpanką i ręką filozoficznie spoczywającą w kieszeni pędził po szosie, słuchając tęsknéj piosenki pocztyljona...

„Złoto! złoto! jest chimerą...“

W ślad za tym pożądanym a takim krótkim gościem życie powoli z miasta uciekać zaczyna...

Przebrzmiał na sali bazarowéj koncert młodego Dunieckiego — omnibusem wyniósł się teatr w krainy ubłogosławione panowaniem Alexandra II, a na opuszczonéj niwie pozostała tylko jakaś wróżka, przepowiadająca przyszłość na starym Rynku, zuchwała Lenormand, pragnąca choć wykruszone ziarna ze złotego żniwa pozbierać.

Wróćmy jeszcze na chwilę do dwóch faktów ubiegłego tygodnia: do koncertu i teatru.

Z obu pozostało nam bardzo gorzkie wrażenie.

Patrząc na bledziutką, z opuszczonemi bez wyrazu oczyma twarzyczkę małego koncertanta i ścigając za jego błyskawicznie migającemi paluszkami, czuliśmy się, jak gdyby pod wrażeniem dokuczliwéj zmory i cud ten jedenastoletni sprawiał nam niedające się określić cierpienie moralne. Było w tém uczuciu oburzenie, podziw instynktywny i przerażenie jakieś — a na ogólne wrażenie... wielki niesmak.

Takich dzieci nie powinno się pokazywać publicznie. Czy w głębinach téj małéj duszy leży embrjon genjuszu, czy téż szczególny fenomen specjalnéj pamięci i zdolności porusza dziecięciem jak sprężyna automatem — zawsze wystawianie go na widok publiczny wydaje nam się rzeczą oburzającą — jeżeli nie bluźnierczą.

Ścierać dziewiczy puszek z namaszczonéj może od Boga, a w każdym razie niewinnéj duszy, pod wrażeniem oklasków i pochwał kilkudziesięciu ludzi, których ciekawość przywiodła; kupczyć fenomenalnością, sprzedawać po atomie nieszlifowany djament, okradać duszę dziecka ze skarbów, których jeszcze nie czuje w sobie, a o które, kiedyś puste i wycieńczone, z rozpaczą się zapyta — dla chleba — jest to prostytucja ducha!... Srogie powiedzieliśmy słowo, ale słowo z bólu idące i współczucia....

Słyszeliśmy przy nas z ust rozumnego i poważnego człowieka wyrzeczone głębokim i smutnym tonem:

— Koncert ten przypomina mi mitologiczną baśń o Saturnie zjadającym swoje dzieci!...

Dzieci było bardzo wiele... Szczęśliwe! żadne z nich nie było cudowném dzieckiem...

Widzieliśmy matkę wskazującą córeczce biegłość małego koncertanta, z intencją widoczną przezwyciężenia jéj lenistwa do gamm...

Cel pedagogiczny zyskał więc na tém widowisku!!

Podobno przyszłe losy małego koncertanta spoczywają już w szlachetnych i intelligentnych rękach! Czyn taki tém szczytniejszy, — im rzadszy bywa; miłosierdzie bowiem dla ducha jest jałmużną, którą nie każdy dać potrafi. Wypielęgnować w cieniu swojéj duszy talent, stwarzając dlań warunki do powolnego i gruntownego — a więc jedynie prawdziwego rozwoju — jest to pomódz Bogu! —

Te kilka słów, których już nam przemazać nie wolno, powiedzieliśmy wewnętrznie zmuszeni.

Raz wpadłszy na ton zarzutów, przemówimy nim i do Dyrekcji teatru naszego.

Nieraz na tych tu samych kartkach, powodowani słusznym żalem Dyrekcji i naszém przekonaniem, wyrzucaliśmy publiczności zbyt nieliczne uczęszczanie do teatru. — Źle jest, kiedy ogół lekcewazy instytucję, gorzéj jednak, kiedy instytucja lekceważy żądanie ogółu. A jednak tak było. Nie daléj, jak w zaprzeszłą niedzielę było nas dużo, oczekujących na widowisko i pewnych, że w dzień świąteczny, w obec zjazdu na jarmark wełniany, w interesie własnym wreszcie, Dyrekcja da zapowiedziane przedstawienie... Tymczasem tłumna publiczność zastała drzwi zamknięte, a na nich odwołanie... Czy to nas miało pocieszyć, że bliźni nasi gdzieindziéj dobrze się bawią, a my dla tego się nie bawimy?... Nie myślę... To pewna, że wielu z zawiedzionych przybyć mogło ledwie raz lub dwa razy na rok do Poznania i odjechało nie ujrzawszy polskiéj sceny, z tém przekonaniem że ta się ma — bardzo dobrze!... Zresztą gdyby nie ta jedna eskapada, teatr w ostatnich dniach swego pobytu zasłużyłby się bardzo dobrze publiczności. — Wystawienie „Epidemji“ J. Narzymskiego i występ panny Podolskiéj w „Szklance wody“ zrobiły wyborne wrażenie...

Epidemja potrafiła poruszyć wszystkie piętra — to dosyć! a publiczność poznańska ma to do siebie, że rzadko się zdecyduje na oklaski — ale raz zaciąwszy się, — dochodzi do frenezji. Loże uderzały w rękawiczki — a loże nigdy nie uderzaja — dobry ton nie pozwala!... Epidemja więc miała trjumf nowy!

Co do panny Podolskiéj, — czekamy na jéj powrót z decydującém słowem. Głos piękny i czysty, wyrazistość rysów i artystyczne poczucie pozy uprzedzają na jéj korzyść, jednakże maniera, którąśmy dostrzegli w dwóch pierwszych aktach „Szklanki wody“, zasadzająca się na powolném a nienaturalnie akcentowaném wymawianiu i powtarzających się poruszeniach brwi, oraz mimice mało urozmaiconéj, każe nam wstrzymać się z wydaniem sądu.

Tyle o teatrze!... Powiedzieliśmy, że miasto się wyludnia. Jeszcze kilka dni do 1go lipca — a Poznań wejdzie w sezon ogórkowy. Ktoby jednakże w niedzielę ostatnią przyjechał do naszego miasteczka, musiałby wywieźć bardzo pochlebne mniemanie o jego ruchliwości. Illuminacja na cześć Piusa IX wywabiła tłumną publiczność na ulice. Wszystkie katolickie domy rzęsistem błyszczały światłem... Ulica Nowa i aleja Wilhelmowska mrowiły się spacerującemi, a po nad ożywionêm miastem w cieniach pięknego wieczoru błyszczała wieża kościoła Franciszkanów, przez któréj koronkową siatkę przebijały się różnokolorowe płomienie lamp. W oknach jaśniały liczne emblemata uroczystości. Na Lipowéj ulicy cierpiąca twarz Chrystusa wyglądała przymglonêm okiem z potoków światła, a posążki Madonn i świętych migały w oknach co chwila...

Nie zapomnę pewnego widoku, który na drodze mojéj spotkałem... Szedłem za tłumem, bezmyślnie i smutnie. Naraz u nóg moich spostrzegłem światło. W okienku sutereny pod stopami przechodzących, w głębi, w pośród zieloności kilkunastu wazoników ubogich uśmiechała się łagodnie śniada twarz Marji Częstochowskiéj, oświetlona błękitnawym płomykiem kilku lampek... Zdawało mi się, że wpośród hałasów i gwaru różnojęzycznego tłumu, głos téj sutereny mówi samotny i pokorny:

De profundis ad te clamavi! Domine!

* * *

W téj chwili list z Krakowa opowiada nam o śmierci pełnego zasług i ukochanego od uczniów swoich doktora Gilewskiego. Zmarły, jako dziekan wydziału lekarskiego, odznaczał się łagodnością i ojcowską troskliwością w stosunkach officjalnych ze studentami — jako profesor petalogji i terapji, jasnym i pełnym wiedzy wykładem... Śmierć jego mocne wrażenie w Krakowie wywołała. — Przypominają sobie wszyscy niedawny udział jego w sprawie adresu do X. Döllingera i następstwa tego. Pogrzeb ma być bardzo uroczysty.

* * *

Na lipcowe skwary i pustkę przybywa Poznaniowi pociecha w postąci pisma humorystycznego — Osa! Szkoda, że złośliwy ten owad rodzi się tak późno — będzie może dla tego żył dłużéj — czego mu z serca życzymy... Jest to ostatni wypadek nadzwyczajny, o którym wiemy. Zresztą, zewsząd cisza.. Mówią o drenowaniu, o cegielniach, zakładanych na jego przyjęcie i głowach, poczynających rozumieć pożytki z niego, o pięknéj brunetce, która w niedzielę była ubrana żółto a wychodzi za mąż z wielką krzywdą drugiéj, ubranéj niebiesko i o wielu jeszcze rzeczach — szumiących koło uszu moich — a przyniesionych na skrzydłach nimfy tutejszych gajów — Plotki!

Wł. Ordon.

Z ZAPISKÓW KOLEKTORA.

(Ciąg dalszy.)

Mąż z orlim nosem, w obszerném futrze, poruszył się i zamruczał:

— Czort wié, po jakiemu gada!...

Rodzina pachnąca apteką spoglądała na nas baraniemi oczyma.

— Niech pan sluchać — mówił daléj nieznużony interlokutor, podnosząc głos o ton wyżéj jeszcze, — niech pan sluchać — nie latwy spotkać takiemu czlowiek szęsto jak ja — nie może być druga, coby znala tak Francja, Wlochy i Niemiec jak ja...

— Jakiś turysta pomyślałem — oddychając wonią miętową połkniętego cukierka...

— W Turyna jeden il conte veneziano, mówi so on myśli, że ja Wloch być narodzona; — w Ville neuve, a! Ville neuve! madame Dupont — żona jeden liwerant szeptal do mnie wieszorem: „Ah! vous parlerez et aimerez comme jun Franzosé. Jasz Bulski gutsbesitzer z Kobiszyńskie powiatu, posel nach Reichstag, z moje mowe ulożone tęgo Bismarka nos ucieral... Pan dobrodziéj snasz Jasz Bulski? zainterpelował męża z orlim nosem...

— A djabli panu do tego! burknął mąż.

— Unartig! malapris — nie zna moja zasluga — szepnął pogardliwie mój interlokutor... hrabia Jóżo i książe Waczo temu nie zrobi, on co zemną ręka z rękę żyje...

Wyjąłem ostatni pastylek i rozkręcałem powoli tutkę...

Przy mnie dał się słyszeć płaczliwy głos chłopczyka rumbarbarowego:

— Mutter!

— Mutter!... powtórzył małżonek pomadowy.

— Ja! odpowiedziała rumiankowa małżonka...

Po tych słowach nastąpił zagadkowy szelest, jakby rozwijanego papieru — potém głos kobiecy zawołał:

— Vater!

— Ja!

— Gieb ihm!

I zrobiła się znowu cisza wpośród której słychać było kląskania trzech osób. Widocznie rodzina posilała się.

Duszący dym zapalonego cygara zaczął rozchodzić się po wagonie. Mój towarzysz zaciągał się... Dziewczyna w elkowéj salopie poruszyła się, zakaszlała i pociągnęła łagodnie za rzemień od okna. Świeży powiew powietrza wlał się do wagonu.

— Dla boga! co panna robisz!... jęknął mąż, owijając się w futro.

— Duszę się...

— Ale moje reumatyzmy! Djabli mnie tu wnieśli! a mogłem jechać pierwszą klasą!

— Jeżeli to panu szkodzi!...

Panna się pytasz?! Herr Schaffner!!... Twarz konduktora pokazała się w okienku.

— Gefälligst?...

— Chcę wysiąść...

— Zaraz stacja!

— Co mi stacja!... Jeszcze mnie tu tknie paraliż... Każ się pan zatrzymać...

— Nie mogę...

— Ale ja jadę! ja pojadę pierwszą klasą, rozumiesz pan, pierwszą!

— Wszystko mi jedno!... nie mogę, chyba...

— Chyba?...

— Chyba pan zapłacisz koszta zatrzymania się — 25 talarów...

— Przeklęte pijawki! mruknął mąż, opadając na swoje miejsce.

— Niepotrzebnie pan się gniewa — szepnęła dziewczyna z lekkim cudzoziemskim akcentem, zamykając okno, — okno może być zamknięte, chociaż ten dym od cygar...

— Ah! Mademoiselle, Fraülein, Signorita! zagruchał turysta, je vous genere, — ja pania przeszkadza, — Entschuldigen! plesz piękna!... Je suis gentilhomme! Pourquoi me dix vous pas?...

I cygaro padło za okno, zakreślając ognistą smugę w ciemności...

— Dziękuję panu! odpowiedziała miękkim głosem dziewczyna.

— Ah! sa mala, sa mala, zawołał zrywając się turysta. — Pania jedzie daleko? Mój opowiązek! Vous etes etrange — madame? Może mogi być przydatne?...

— Bardzo panu obowiązana, — jadę do Czwartku, znam dobrze miejscowość, chociaż nie jestem... tutejsza...

— To nie może być!... Ja jestem Polaka — te okolice mi znajome jest i calem Księstwo — mogę wskazywać pania! Mój obowiązek... Znam wszystko! Henryka Pacza w Gąsach... Adamostwo Węzkich — w Bączyn — cale Czwartek — piękne miasto Czwartek — sejmiki nasze polskie za Konrad Mazowiecki tu się odbywać — pod kijem... Comment monsieur?

— Pod laską, odpowiedziałam.

— Pod laska marszalek Lubomirski — jest farę — klasztory dwoje — wieże co na niéj nasze król Batory powiesil pan Samuel Zborowski — co on pana Wapnowski żona zbalamucil, pardon Madame, a potém zrejterowal na kozaki. . pania nie znać naszą Polska — historja — piękna historja!... ma foi... comment dire? — grandiosa!

— Wspaniała...

— Ja, spaniala!... O pania jedzie do Szwartek czy w okolice Szwartek?... W okolicę!... Bien!... ja panie mogę oświetlić co do stósunki obyczajów — pretenzje — konneksje — naprzylóż, par exemple! Romciowa Klińska! pania slynala! smutna wypadek!... Ein Schiksal...

— I cóż pani Klińska? zapytał wzgardliwie mąż z kąta.

— Hörst du Mutter... der Herr spricht von der Klińska! odezwał się małżonek przy mnie.

— Co pan chcesz mówić o pani Klińskiéj! zapytała żywo dziewczyna!...

Turysta krzyknął z zadowolnieniem:

— Państwa wszystka szekawi!... proszę... Bitte! bitte sehr... Ale żeby dla wszystka byl zrozumieć, po jakiemu ja mówić?...

— Gadaj pan po chińsku ino prędzéj, krzyknął mąż.

— Wir verstehen nicht polnisch!...

— Mów pan po polsku!... zawołała ze drżeniem niecierpliwości dziewczyna...

— Nu! plebiscit — większość glosy za polski... Eh ben! écoutez...

— Pania Klińska, jak państwo muszą pewnie wiedzieć, c'est une fière dame! tęgo kobieta... Ona nie siedzi w domu!... Ona jeździ po Drezna, Berlina, Paryża, Wiednia, Florencja i wszędzie ona siedziala dziesięć miesięcy, jedenaście miesięcy, nigdy 7 miesięcy ani 6 miesięcy. Nu wszyscy się dziwowal, so ona siedzi zawsze więcéj jak 9 miesięcy. Tak ona jeździ trzydzieści roków. Bogate dama i ma córkę. — Jak nie byl pani Klińska przez cala rok teraz w domu — stal w Czwartek jeden mloda huzar Ritter von Brunsberg-Braunsberg z Berlina. Poznal się z panna Klińska i pokokali się oba... No! napisali do matka, ojciec — matka się zgodzil — wyznaczyli termin do malżeństwo... Na zaręczyny się zjedzie goście i pani Klińska przyjechala z Berlin! Jak ona zobaczyla ten narzeczony córki ona zadrguje i pyta jemu o familję... A on mówi co jego Ritter Brunsberg von Braunsberg adoptowal, jako syna od swego siostrzeniec...

— A jak się nazywal pański papa?

— Von Knickebrock...

Tu pani Klińska zemdlał. No! jak przyszedl do siebie tak wola z pokojówkę tego huzar do swego budoar i pyta jemu:

— Czytal pan Edypa Sofoklesa?

— Czytalem, mówi huzar.

— No to ja panu powiem co panby byl podobne do Edypa a moja córka bardzo podobne do Jokasty, jakbyście się pożenili...

A potém, jak ona mu to powiedzial, to pokojówka slyszal wielkie furje ten huzar i rozpacze a pani z lykaniem mówil:

— Mój synu! mój synu!

— A do kroćset! — krzyknął mąż z kąta zrywając się — i to pewno?

— Czy pewne! huzar znikla — panna z suchotem umiera!... a pani Klińska do Meran odjechala...

— O mój Boże! mói Boże! que vais je devenir! — jęknęła dziewczyna w elkowéj salopie i ze stukiem upadła na podłogę...

Rzuciliśmy się wszyscy na ratunek... W téj chwili w ścianie przegradzającéj wagony zabłysła lampka... Mdławy jéj płomień upadł na postać zemdlonéj i oświecił przecudowne, słodko zakrojone, — teraz zbladłe usta i sieć czarnych rzęs, rzucających cień na marmurowéj bladości twarz — z któréj zda się wszystka krew do serca uciekła. Na ten widok ze wszystkich ust wydarł się okrzyk:

— Pani Klińska!..

Otwarto okno. — Turysta podłożył pod nos dziewczyny pięknie rznięty flakonik. Otworzyła oczy z głębokim jękiem. Pociąg gwizdał przeraźliwie. Zbliżaliśmy się do stacji.

— Dalibóg! kropla w kroplę, jakby wymalował! mruczał wpatrując się w dziewczynę mąż z orlim nosem.

— Schöne Fraülein, litościwie szepnęła niemka, — sieh, Vater, wie aehnlich Sie ist...

— Grösslich! zawołał jéj małżonek!

— Założylbym się, że to siostra nieznajoma tego huzar, — brzęknął mi w ucho turysta...

Światło padło mi na ręce. Teraz dopiero spostrzegłem, że tutka którą trzymałem w ręku była zadrukowana... Spojrzałem. Na wierzchu było: Preis courant... Brenn, Brunn et Comp.... Cigarren Lager. Bremen etc.

Turysta spostrzegł moje zajęcie...

— To cennik moje pryncypały, rzekł. Jai l'honneur de me présenter — i wyjąwszy z portfelu paczkę kart wizytowych, podawał obiema rękoma mnie i obecnym... Spojrzałem ciekawie. Bilet miał koronę hrabiowską u góry, a pod nią napis: „Arminius Léopold comte de Blaseblitz, capitaine de l'armée pontificale.“

— To moja imia, — rzekł kłaniając się z dworskim wdziękiem turysta, je m'occupe du commerce de cigares; teraz dla przepędzenie czas i osobiste zabawe... dla odpoczynek po różne wojskowe awantury i rany — która dlugie lat otrzymalem!...

— Pańskie nazwisko niemieckie?...

— Corpo di Bacco! Co pana sobie miszli, — jo jestem Polak-Kaszuba narodzony; io sono dumny z ten honorem!... Moja krew za to dawalem!

Spojrzałem na niego sympatycznie. Wjeżdżaliśmy już na stację. Trzask i zgrzytanie hamowanych kół, szmer ludzi czekających na dworcu, stukanie drzwi otwierających się na chwilę oderwały moją uwagę. Kiedym obejrzał się, już małżonkowie germańscy zniknęli... za niemi wyskoczył hrabia, przesyłając mi w powietrzu całusa i wołając najpiskliwszym z falsetów:

— Addio! addio! Mi się zobaczy! Prosze zaufanie dla nasz handel...

Zostało nas w wagonie troje tylko. Dziewczyna, ja i mąż z orlim nosem. Dziewczyna, łkając cicho, zbierała swoje rzeczy, to biorąc torbę — to znów szal — to jedno i drugie, porzucając znowu... jak gdyby straciła świadomość i siłę woli. Ręce jéj drżały i chwiała się, postępując ku drzwiom.

— Za pozwoleniem! zawołał mąż z orlim nosem zastępując jéj drogę, — jestem trzy razy starszy od Pani, zdaje mi się że nie obrażę — gdzie pani jedziesz?

Rzecz dziwna! Głos burczymuchy brzmiał prawie pieszczotliwie!...

Dziewczyna zadrżała i obejrzała się. Stałem w cieniu i nie postrzegła mnie.

— Do Bielińca, odpowiedziała szeptem.

— Domyślałem się tego, rzekł dobrotliwie starzec, a z daleka?

— Z Paryża i na wezwanie...

— Nie ma tam po co jechać — słyszałaś pani awanturę — ona już w Meran... jeżeli pani potrzeba matki, nim co wynajdziesz... ja mam żonę bardzo poczciwą i nie jestem tak zły, jak się wydaję, — całości się domyślam — szczegóły mi opowiesz jak zechcesz. No zgoda?...

— Bóg jest dobry jednakże, szepnęło dziewczę, chwytając go z rozczuleniem za rękę...

— Jaśnie panie, jaśnie pani się niecierp... zawołał lokal cały w galonach.

— Idź do stu djabłów! krzyknął starzec basem i zabierz koty z wagonu na ręce; — dla tych bestji jechać wygodnie nie mogłem. Aj! Boże! Boże!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

POKŁOSIE.

Dra. **Zygmunta Celichowskiego** rozprawa p. n. „De Fontibus qui ad abdicationem Joannis - Casimiri et electionem Michaeli Wiśnowiecii pertinent 1668 — 1669“; — **B. Kalickiego** „Opowiadania z dziejów Polski“; — **Bezimiennego** „Porównanie wypraw na Moskwę Żółkiewskiego i Napoleona I“; — **T. Ostaszewskiego** „Moje dobre chęci czyli powiastki i Bajki dla ludu wiejskiego“; — **Leopolda Weitzenbluta** szkic hygieniczny p. n. „Mężatka i matka“; — **Piotra Zbożka** poemat p. n. „Bartosz z Trębowli“; — **Antoniego Schneidera** „Encyklopedja do krajoznawstwa Galicji pod względem historycznym, statystycznym, topograficznym, orograficznym, hydrograficznym, geognostycznym, etnograficznym, handlowym, przemysłowym i t. d.“; — **Walerego Wielogłowskiego** „Kraków przed czterdziestu laty“; — **Michała Solakiewicza** obrazek z życia ludu wiejskiego nad Wisłą ze śpiewkami p. n. „Urlopnik“; — **M. Edw. Sosnowskiego** zbiór wierszy oryginalnych i tłomaczonych p. n. „Kilka Poezji“; — i przez XIX „Zgoda duchowieństwa z Narodem.“ —

Stanisław Boduszyński przełożył z angielskiego na język polski powieść Dickensa i Collinsa p. n. „Bez wyjścia“; — **Edmund Callier** przełożył z języka francuzkiego „Dziennik oficera armji nadreńskiéj“ przez Karola Fay, podpułkownika z głównego sztabu.

M. Dziekowski wydał w Warszawie kartki humorystyczno-satyryczne p. n. „Kosa,“ które prawdopodobnie zastępują zamierzoną publikację perjodyczną „Kolców.“

W Pradze czeskiéj wychodzi u J. L. Kobera czasopismo literacko-naukowe p. n. „**Vêstnik Bibliograficky**,“ — jakiego w tym rodzaju nasze piśmiennictwo nigdy nie posiadało i nie posiada. —

Darwin ogłosił dawno już oczekiwane dzieło p. n. „The Descent of Man,“ w którem ostatecznie wywodzi, że człowiek podobnież jak i małpa pochodzi od jakiegoś zwierzęcia czworonożnego, kosmatego i zaopatrzonego w ogon i uszy szpicaste Zwierzę to żyło prawdopodobnie na drzewach, w Afryce.

W Zbikach nad Prosną odkryto **starożytne urny** czyli żale dawnych plemion Sławiańskich. —

Filia Lwowska towarzystwa **oświaty ludowéj** zawiązała dział, składający się wyłącznie z niewiast, które wpływać mają na oświatę dziewcząt. —

Auber Daniel-Franciszek-Esprit, kompozytor francuzki, ur. w Caen roku 1784 dnia 29go lutego, umarł w Paryżu dnia 13 maja br. Z jego oper przypominamy Szanownym czytelnikom naszym „Niemę z Portici, Fra-Diavolo, Gustaw, Fiorilla, Jenny Bell,“ „Maron Lescaut“ i ostatnie jego dzieło „Pierwszy dzień Szczęścia.“

Czasopismo niemiecki „Gartenlaube“ zamieściło, w numerze 23, reprodukcję obrazu **A. Gieryńskiego** p. n. „W stadzie pol-

skiego Starosty.“ — Drugie czasopismo niemieckie „Ueber Land und Meer,“ w numerze 35, zawiera kartkę wspomnień W. Wincklera p. n. **Bogumił Dawison** in Baltimore. —

Redakcja Tygodnika Wielkopolskiego wzywa Szanownych Czytelników swoich o łaskawe dostarczania materjałów do monografji **Tomasza Antici'ego**, kardynała i agenta dyplomatycznego dworu polskiego przy Stolicy Apostolskiéj za panowania Stanisława-Augusta. —

STUDJUM
nad niesprawiedliwym uciskiem Niemców przez inne narody, mianowicie przez Sławian*).

Fiat justitia, pereat mundus!

Niezbyt to dawno napisałem studjum nad sympatją Niemców dla Polaków, a to wywołało jęk boleści z piersi jednego poczciwca, który ją wylał w „Ostdeutsche Zeitung.“ Aż mi się żal zrobiło dobréj duszy i gdyby nie wstyd, ambicja autorska, któréj jak wiadomo, żadna inna nie dorównywa, publicznie byłbym wołał: „pater peccavi!“ Miałem nawet szlachetny zamiar wykupić wszystkie numera Tygodnika Wielkopolskiego, w których owo studjum było wydrukowane, i tylko — owa szalona ambicja przeszkodziła mi ostatecznie w wykonaniu tego zacnego zamiaru. Ale — Similia similibus curantur, czyli dodaj ognia do ognia, by go gasić, jak uczył Hannemann, którego jestem adeptem, — mam zamiar w inny sposób, za pomocą drugiego, głębokiego studjum, które jest zarazem odpowiedzią na zamieszczone w Tygodniku pytanie, żniszczyć szkodliwy wpływ pierwszego, i takim sposobem w prawdziwie katechizmowym duchu dać zupełne zadosyćuczynienie za grzech popełniony i zmazać winę, o ile to jest możliwém.

Łaskawy Czytelnik prędko też przekona się, że moje studjum jest arcy-poważne, bo sięga najdawniejszych czasów, i gdyby mi się w przyszłości miało udać znaleść gdziekolwiek ślady nawet ucisku, pod którym jęczeli Niemcy w przedhistorycznych czasach, upewniam, że niebawem bym je ogłosił dla zmazania winy, jaka na mnie cięży ex re wspomnionego już studjum nad sympatją.

Niniejsze studjum, — o czem najkompletniéj jestem przekonany, — jest zupełnie na dobie. Wszak to już znowu jagnię mąci wilkowi wodę w Czechach, jak ją mąciło przez niezbyt dawnym czasem w Szlezwigu i Holsztynie. Ach jakie to jagnię niespokojne! Dalipan, trzeba je zarznąć i zjeść, by je ukarać za niesłychane zuchwalstwo. Raz przecież wtenczas będzie mir w świecie, będzie spokojność między — wilkami, boć to dotąd nie ma przykładu, by wilk wilka zjadł, z wyjątkiem tylko, — — jednego. No, nie ma reguły bez wyjątku; zresztą, lepiéj by wilk wilka zjadł, niżeli żeby był pożartym przez głupie jagnię. To nawet byłby wstyd dla całego wilczego rodu. Veto! Veto! na to ja nie pozwalam!

I.

Sławny Rottek uczy, że trzeba koniecznie badać fakta historyczne ze samych źródeł.

Otóż ja zabierając się do napisania niniejszego studjum, zabrałem się do jednego z najważniejszych źródeł historycznych, dotyczących się mego przedmiotu, z którego jak na dłoni pokazuje się, że ucisk Niemców przez inne narody już zaczął się około 360 lat przed naszą rachubą czasu, czyli przed narodzeniem Chrystusa, kiedy pogaństwo jeszcze tonęło w grzechach i ślepocie. Nie mogąc w téj chwili wcześniejszych jeszcze jęków boleści biednych Niemców dosłyszeć, zaczynam najsumienniéj ab ovo.

Najpoważniejszém, ba jedyném dotąd odkrytém źródłem, z którego można czerpnąć, są starożytne nader: „Wypisy prozy i poezji“ Poplińskiego, które wszyscy ci mieli w rękach, którzy w trzydziestych latach uczęszczali do polskich gimnazjów. Szkoda, że téj arcy-ważnéj księgi obecnie nie masz już w szkołach, albowiem młode pokolenie zawczasu nauczyłoby się...... nie mącić wody wilkowi.

Mam nawet zamiar brać się do przekładu tego szacownego dzieła na czeski, serbski, bułgarski i czarnogórski język, by wpłynąć na te narody i szczepy, aby przecież raz zaprzestali gnieść nieszczęśliwych Niemców, i — mącić wodę.

Lecz przepraszam Czytelnika, że tak długo nie przystępuję do rzeczy. Postępuję nader systematycznie, i dla tego dotąd tyle pisałem, nie przytoczywszy żadnego faktu. Natychmiast się poprawię.

Otóż, — ni fallor, bo Popliński nie pisze którego to było roku, — Cyrus (popsute przez Herodota i innych barbarzyńców niemieckie słowa „Zieh Ross“) w roku 360 przed Chrystusem jeszcze, był młodym chłopakiem i chodził do szkoły symultannéj czyli mięszanych narodowości.

Cyrus, jak każdy młody Teuton, z saméj najrańszéj młodości był sprytny, boć tego i ewangelja uczy, że dzieci tego świata są mędrsze od dzieci tamtego, czyli że Teutony zawsze praktyczniejsi, niżeli wszystkie inne narody. Kiedy jeszcze chodził do szkoły, gdzie dla sprytu swego był poważany, wszczął się raz spór między dwoma kolegami różnéj narodowości, z których jeden był Sławianin, drugi Teuton.

Był to chłodny dzień, kiedy ostatni, ubrany w ciasną kurtkę bez połów, spostrzegł, że pierwszy chodzi sobie w długiéj sukmanie, która mu jeszcze brzuch podwójnie przykryła, a przytem miała długie i szerokie rękawy. Niemczyk w kurtce, wyższy przytem od Sławianina, powiada, że ta sukmana jemu się należy, jako większemu, i rzecz oparła się w końcu aż o Cyrusa. Sprawa dla sprytnego chłopca była nader nieskomplikowana; roztrzygnął najracjonalniéj w świecie, że wielkiemu się należy kaftan, a małemu kurtka!

Nauczyciel Sławianin zganił ten wyrok, genjalny i logiczny zupełnie, i Popliński nie powiada, czy zato nie był, — jak zasłużył, — oddalony z urzędu. Wszakże od owego to czasu widzimy, że biednemu Teutonowi zawsze robią zarzuty, że chodząc w ciasnéj kurtce, stara się o sławiański kaftan, a gdy go jakimkolwiek sposobem dostał, zaraz rośnie i tyje, aż z kaftana znów tylko kurtka się zrobiła, którą z najbliższym sąsiadem na kaftan zamienić pragnie.

II.

Nie może być moim zamiarem we mgle wieków śledzić za rozwojem ciała młodego Teutona i częstem logicznem zamienianiem ciasnéj kurteczki na obszerny kaftan, tudzież za sprawiedliwym krzykiem boleści, jaki się wyrwał z ust pokrzywdzonego w swych naturalnych prawach Teutona, kiedy mu barbarzyniec Nieteuton nie ustąpił praw swoich do zbyt wielkiego kaftana. Toby zresztą znudziło Czytelnika, a więcéj jeszcze Czytelniczki, gdyżbym koniecznie był przymuszony porobić uczone cytaty z wypisów Poplińskiego i podobnych im źródeł, a nudzić Czytelnika a mianowicie Czytelniczkę, uważam za grzech śmiertelny.

Wolę więc przeskoczyć przeciąg czasu, wynoszący około tysiąc lat i przenieść się z Azji do Europy.

W owym to czasie żyli Sławianie na wschodzie Elby, Teutony na zachodzie.

Łatwo sobie wyobrazić, że Teuton, skłonny od natury do towarzyskiego życia z sąsiadem, często zwiedzając Obotrytów, Wendów, Luzatów i t. p. upodobał sobie ich dosyć wygodne nory i zbyt długie a ciepłe kaftany. Przytem też wiadomo, że Niemiec już w owym czasie był ochrzcony i nie jadł koniny, kiedy Sławianie jeszcze wierzyli w Światowida, i koninę jadali. Trzeba było zbawić ich dusze i pozbawić ich kaftana.

I otóż znalazł się nowy Zieh-Ross czyli Cyrus, który podarował rzymskiemu papieżowi to, co nie było jego, a za to odebrał od tegoż papieża jako dowód wdzięczności wszystkie prawa kościoła do dusz pogańskich. Że przy nawracaniu nie obyło się

*) W odpowiedzi na zawarte w Kronice Nr. 25 zapytanie I.

bez szturchańców ze strony niewdzięcznych Sławian, rozumie się samo z siebie, i poczciwi misjonarze — Niemcy z całą słusznością wołali: „Gwałtu, ratujcie! Niechcą ustąpić koninę jedzącego Światowida i zbyt długiego kaftana!“

I zaraz znaleźli się świętobliwi ludzie, Karolowie i Henryki i Ottonowie i — Bóg wie jacy tam jeszcze Opatrznościowi wielcy ludzie, którzy chcąc pogodzić sprawiedliwość boską z prawami natury, kazali — Sławianom oddać Teutonom kaftan, a oblec kurtkę.

Tak to szło dalej i dalej. W imię Boże zabierano Obotrytom i Wendom ciepłe kaftany a odziano ich w letnie ubranie niemieckich sąsiadów, którzy do nich w kieszeniach kurtek przynosili kulturę, a ponieważ kurtka, choć napełniona kulturą nie grzeje, Obotryci i Wendowie wszyscy zmarzli, prócz tych jednak, których margrabia Gero upiekł w swoim zamku. Jednak Gero tego postępku tylko z rozpaczy dopuścił się, gdyż nieokrzesani Sławianie go uciskali, dobrowolnie kaftana, zwanego Marchją, ustąpić nie chcieli i wcale nie mieli ochoty kontentować się kulturą, kurtką i królestwem niebieskiem. Wreszcie przecież między Elbą a Odrą Sławianie przestali gnieść i uciskać biednych Teutonów, prócz tych, którzy żyli jeszcze u stóp gór Olbrzymich, Sudetów i Rudnych. Przecież tu dopiero od niedawna wszczął się krzyk, a był to raczéj krzyk zgrozy niżeli trwogi, bo w Szląsku spotrzeżono wśród białego dnia pokutującego ducha niewygubionéj jeszcze polskości, o którym sądzono, że dawno w wodach Lety, zwanéj zwykle głupotą, jakoby umyślnie tam utrzymywaną, powinien był utonąć. „Czego się skorupka za młodu napije, tem na starość trąci,“ mówi polskie przysłowie. Teuton już w samej rannéj młodości swojéj napił się chętki do cudzego kaftana, nie dziw więc, że téj chętki nie porzucił, starzejąc się między Elbą a Odrą. Poszedł on powoli dalej ku wschodowi, między Odrę i Wartę i tu po sąsiedzku zaczął żyć z Polakami. Brał kaftany za kurtki. Zwykle przybywał on z t a c z k ą (Karre), na któréj siedział d z i e c i a k, (J ö h r e), z czego Francuzi utworzyli wyraz f a i r e C a r r i è r e, to jest zdobyć fortunę, boć to Karre i Jöhre na niéj zmienił Teuton zwykle na porządną kamienicę, na wieś i karetę.

Mieli też między nami dużo przyczyn do wydawania krzyku i jęku boleści, jak to zaraz pokażę. Przybywającym tu i do całego polskiego kraju z Karrą i Jöhrą, w kurtce i pantoflach, pozostawiali im Polacy ich stare, barbarzyńskie prawo magdebuskie, którém się rządzili, nie zważając na miejscowe, krajowe prawo. Kiedy się zaś komu pozostawia prawo z pod którego ucieka, czyż ten nie ma prawa do narzekania, do jęczenia i wołania o ratunek?!

III.

Jasno więc jak na dłoni, że Niemcy i u nas mieli prawo do narzekania, a to tém więcéj, że coraz trudniejsza stała się zamiana kulturalnéj kurtki na barbarzyński, lecz wygodny kaftan. Prawo to udowodniłem w poprzedzających ustępach z całą logicznością. Dowodzeniu temu nikt opozycji stawiać nie może. Satis! —

Na północy od nas, w okolicach także już w historycznych czasach zamienionych na teutońskie terrytorjum, rozłożyli swe panowanie książęta Szlezwigu i Holsztynu, którzy się rozmnożyli jak piasek na brzegu morza.

W domu ciasno im się zrobiło, gdyż ku wchodowi, zachodowi i południowi niepobobno było znaleść wygodnego kaftana, a plemię czynne koniecznie pragnie zajęcia. Zwrócono się ku północy, gdzie żył w grubéj ciemnocie szczep Normanów.

Różnemi sztuczkami i figielkami książęta holsztynscy zamienili kurtkę książęcą na krolewsko-duński kaftan i wygodniéj sobie żyli w Kopenhadze, niżeli żyć mogli w Kjelu lub Glücksburgu. To się stało przed wielu wiekami, i między krajami, sąsiadującemi a rządzonemi przez jedną dynastję, panowała zgoda i harmonja przez kilka wieków. Dynastja o tyle zduńszczyła, o ile siedziała w Kopenhadze; o resztę członków rodziny troszczył się tylko kalendarz wydawany rok rocznie w Gocie, a świat nie wiele wiedział o domach: „Holsztein-Sonderburg-Glücksburg-Gotorp-Augustenburg“ i t. p. nazwiskach, trzy lub cztero wyrazowych, stanowiących mały słownik.

Lecz linja panująca w Kopenhadze, od dawna grzeszyła przeciwko Teutonom. Gdzie tylko zjawił się niemiecki poeta, pisarz, artysta, duńskiemi Rigsdalerami obsypywała go, oczywiście w zamiarze wygubienia w nich niemieckiego poczucia i żeby ostatecznie dopiąć tego celu, — fundowała taż dynastja niemiecki uniwersytet w Kjelu, nie szczędząc na to normańskiego skarbu. Tego już było trochę za nadto; długo taki ucisk teutońskiéj narodowości trwać nie mógł. Zaczęły się usprawiedliwione jęki i krzyki, bo królowie duńscy nic nie czynili, by ostatecznie i w saméj Kopenhadze założyć uniwersytet czysto niemiecki, i zabraniać mówić po duńsku; nie rozdarowywali też jütskich dóbr koronnych niemieckim junkrom, choć ich dosyć się karmiło przy dworze i tem Danji się przysłużyło; słowem nic nie czynili, by ostatecznie Duńczyków odziać w kurtkę niemiecką, a Niemcom dać duński kaftan.

Od roku 1848 jęk i krzyk boleści przybrał wyraźną barwę i odział się w słowa: „Schleswig-Holstein meerumschlungen,“ aż już przed niedawnym czasem bracia teutońscy się ulitowali biedy swych kompatrjotów i — odziali ich w upragniony kaftan barbarzyńskich Normanów, nie mających żadnéj przyszłości.

Teraz Teutonia chodzi sobie już w ogromnym kaftanie, który jéj wszędzie wisi, gdyż krawiec nie dla niej go zrobił. Trzeba koniecznie więcéj ciała, żeby go napełnić, bo inaczéj świat-by się śmiał z niegustownego ubrania, nie przylegającego do talji, a wlókącego się po ziemi. Długo taki nienormalny stosunek między ciałem a odzieżą istnieć nie może, bo albo pierwsze w drugiéj by zniknło, albo też drugaby się bez korzyści — na kurtke przerobiła. Na to jest rada!

IV.

Słuchajcie Czytelnicy! Od południa dolatuje mnie krzyk boleści, jęk żalu, „Szczep teutoński już znów jest zdradzony, a to po raz trzeci w krótkim czasie. Niemcy w Austrji mają się stać niewolnikami Sławian, a ty Teutonio, nie masz serca dla twych dzieci, wyglądających z utęsknieniem ze swego więzienia na twoje uśmiechające się błonia i na twoje chwałą uwieńczone sztandary. Czyż się twoja miłość kończy u stóp gór Olbrzymich, Rudnych i Czeskiego lasu?

Twoja missja nie jest skończona; jęcząc i błagając pomocy, leży nowy S z l e z w i g - H o l s z t y n u stóp twoich. Czyż możesz bez litości patrzeć na jego nędzę?“

To jest jęk biednych Niemców w Czechach, w którym to kraju z niesłychaną cierpliwością od dawnych lat kurtkę swoją zamieniają na słowiański kaftan, i gdzie sławiańskiego pochodzenia Czech od również dawnéj daty, to z większém, to z mniejszém powodzeniem upiera się o to, aby Niemiec pozostał w kurtce, a Czech w kaftanie.

Ileż to już krwi płynęło o ten czeski kaftan? Ileż ofiar zgniło po więzieniach? Wszakże nawet dwóch męczenników Guś (Gęś, Hus) i Hieronim z Pragi zginęło na stósie dla tego, że z kazalnicy nawet twierdzili, że Czechom Niemców i tego, co od Niemców pochodzi lub do nich od Niemców się dostało, nie potrzeba.

Teraz, kiedy Austrja już nie jest arcy-teutońską, kiedy jéj przychodzi się opierać byt swój na innych podwalinach, trwalszych, niżeli przeżyty despotyzm i garstka Niemców; teraz wołają Niemcy ratunku, powoływają się na prawa historyczne, których nie przyznawają innym narodom i żądają najhałaśliwiéj, by — ich uważano tylko za nowy Szlezwig-Holsztyn, bo „potrzebaby cudu, by ich znów pogodzić z Austrją, a kruki krążą, mimo zwycięstw Teutonu, wciąż jeszcze wokoło „„Kyffhaüser'a.““ Teutonia jeszcze raz, raz ostatni powstać powinna, by im ostatecznie zapewnić spokojność.“

A Czesi, sławiańskiego pochodzenia, liczniejsi w Czechach niż Niemcy, dotąd mają należeć, czy do słowiańskiéj Austrji, czy też do świętego rzymskiego państwa, germańskiéj nacji?

Oczywiście do ostatniego, bo biedyś królowie czescy byli wasalami tego państwa, ergo kraj jest niemiecki, chociaż większa część ludności nie umie po niemiecku, i wcale nie pragnie oddać kaftanu za kurtkę.

Co do Czechów - Sławian, to oni się powinni stosować do historycznego prawa; Czesi - Niemcy stosują się do nowéj idei narodowości, co się nazywa: suum cuique.

Krzyk zaś i jęk boleści biednych Niemców, nawet w sara-

towskiéj gubernji jeszcze będzie uzasadnionym, jeśli mieszkaniec innéj narodowości nie odda im kaftana za kurtkę.

„Quod erat demonstrandum."

„Kara powinna być, powiada holsztyńskie przysłowie, i dla tego zjadł nauczyciel uczniowi butterszny!" — Czechów zaś Sławian przykładnie ukarać trzeba za to, że chcą być słowiańskimi Czechami, a nie — „Böhmen."

Nudy wielkie dn. 11 czerwca 1871. **Alb. K..n.**

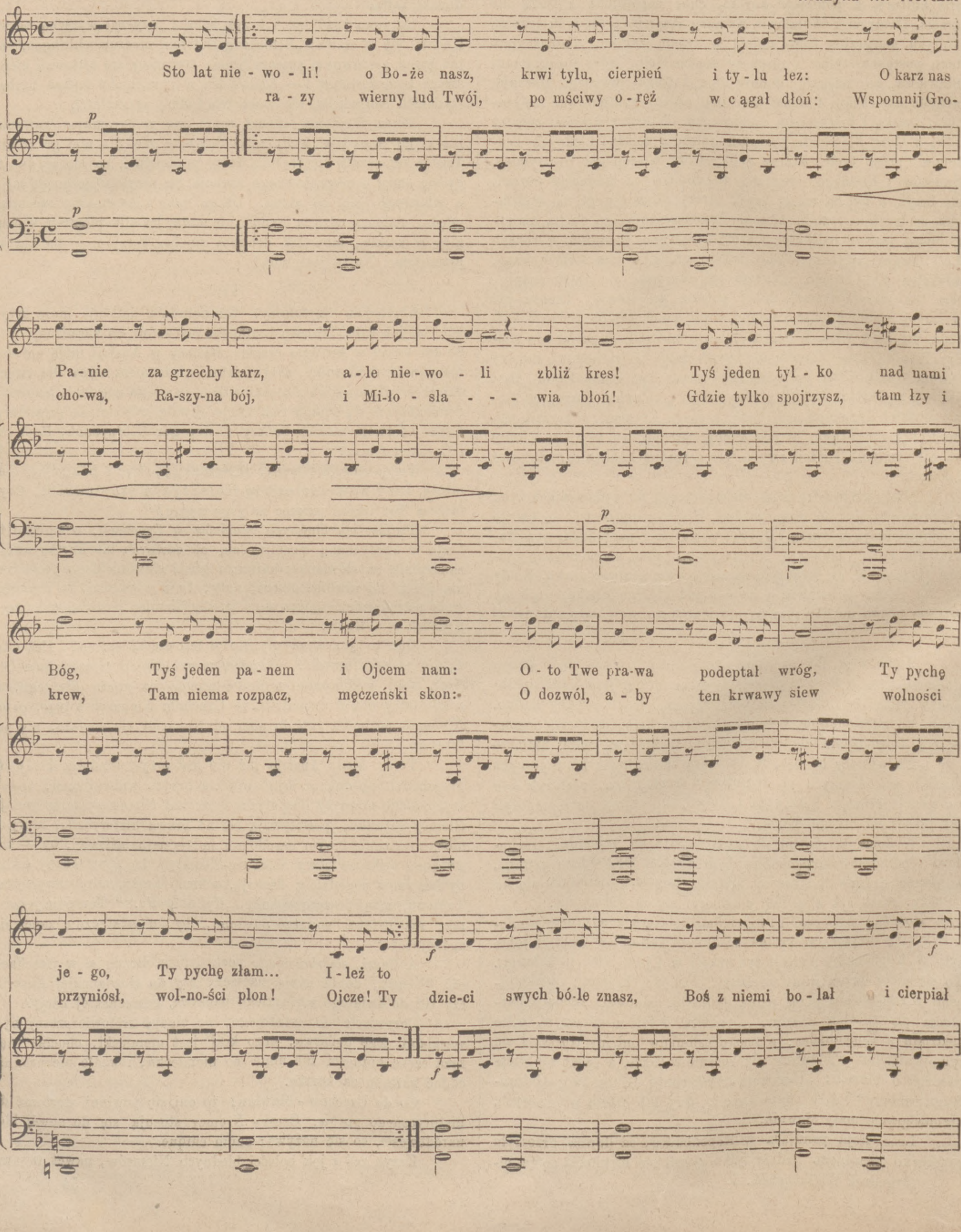
Hymn do Boga

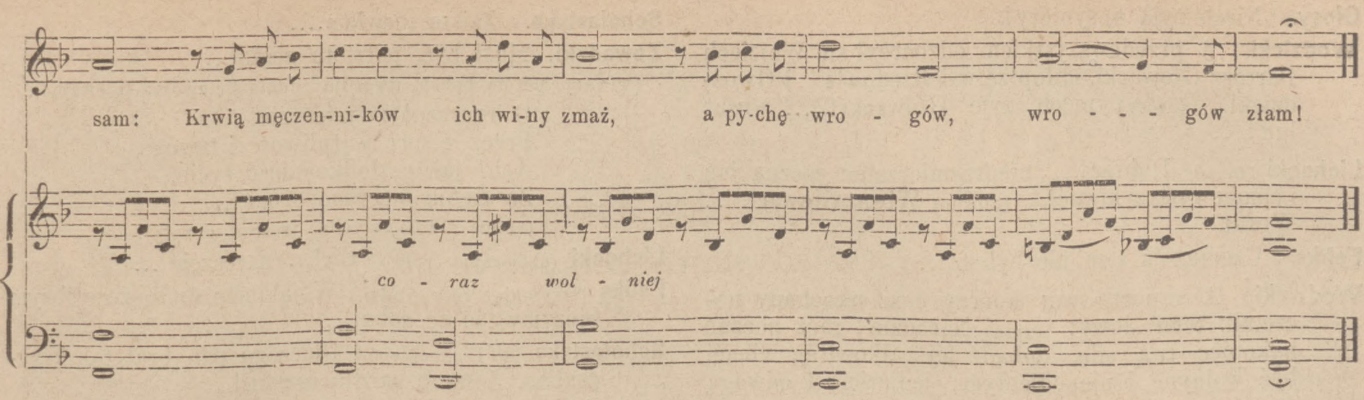
Władysława Bełzy

na pamiątkę stuletniej rocznicy rozbioru Polski.

Bardzo wolno.

Muzyka M. Hertza.





Pan prezydent miasta Krakowa w kłopotach.

Obrazek sceniczny w 2 aktach

napisany przez

Józefa Narzymskiego.

(Dokończenie.)

Zawadzki (n. s.) Aha!....to, musi być, jemu o dziewczyne chodzi....

Lichocki (p. k. m) Aha!... a.. prawda!... prawda!...przypominam sobie!.... A no!... żeby tak odłożyć po wojence.... bo to na wojnie... ludzie... czasem.... nieprzymierzając...

Andzia (cicho do Feliksa.) Trzymaj się pan!...

Feliks. Nie panie!... Teraz, natychmiast! albo nic z zastępstwa!...

Lichocki. O! o!.... o!....

Zawadzki. Daj mu ją obywatelu!... Będziesz miał spokój, bo go lubią w sztabie!...

Lichocki. No, cóż robić!... Bierzcie się moje dzieci!... Nieprzymierzając choćby i dzisiaj!....

Feliks. Dzięki!......

Andzia. Jaki papa dobry!....

Lichocki (cicho do Feliksa.) Ale ten tego.... posag aż po mojéj nieprzymierzając śmierci!....

Feliks. Dobrze!... dobrze!.... jéj tylko pragnąłem (całuje Andzie).

Zawadzki. A widzisz obywatelu!... musi być, ojczyzna ci dała dobrego zięcia!...

Lichocki (kwaśno.) Tak... niby... ale prezydencki stołek...

Scholastyka (n.s.obniżając oczy i wachlując się) Jakie to rozrzewniające! .. ale sceny takie fatalnie działają na moje humory... (słychać za sceną okrzyki).

Lichocki. A to co? znowu wiwaty?

Małgorzata (wpadając.) Rety reteczki!...

Wszyscy. Co się stało!...

Małgorzata. Harmaty prowadzą!...

Lichocki. Jezus Marja! czyby mnie chcieli bombardować?...

(za sceną)

Wiwat Kościuszko! wiwat Racławice!... wiwat kosyniery!...

Antek (w oknie.) A widzi jegomość!... ja mówił ze z Kościuską pobijewa!....

Lichocki. Co to znaczy? (wszyscy zbliżają się do drzwi szklannych i okien — za sceną słychać najprzód bęben potem muzykę i śpiew; kosyniery maszerują przez plac, który widać przez okna i drzwi szklanne — na ich czele Biegański z dobytym pałaszem. Ubiory ich rozmaite, w większéj części krakowskie.)

(pieśń.)

Heyno chłopcy idźwa, iwa,
Naséj kzywdy się zemściwa!
Jesce i nam Bóg poscęści,
Niezałujmy na nich pięści!
Mamy ręce po pięć palców,
Niezałujmy tych zuchwalców;
Popsedajwa woły z wozem,
Spieswa wszyscy za obozem,
Popsedajwa i poduski
A przystańwa do Kościuski!.....

Głosy. Wiwat kosyniery... wiwat... (najgłośniéj krzyczy Lichocki — kosynierzy przechodząc pod oknami, zatrzymują się frontem... osoby w pokoju grupują się przy oknach: Andzia z Feliksem — Scholastyka z Zawadzkiem i Małgorzatą, Lichocki nieco na przodzie, czasem czoło ociera; Wodzicki przechodzi przed frontem kosynierów, na środku, we drzwiach i mówi:

Wodzicki. Jako gubernator Krakowa ogłaszam wam radosną nowinę... Ukochany wasz naczelnik stoczył wczoraj bitwę z nieprzyjacielem pod Racławicami, która trwała od piątéj do ósméj... Mimo że nieprzyjaciel trzy razy nas przewyższał liczbą, zwycięztwo było zupełnem... Otrzymaliśmy plac boju, wzięliśmy 12 armat z zaprzęgiem i amunicją, sztandar kawalerji, pułkownika, kapitana, porucznika, chorążego i wielu jeńców...

Głosy. Wiwat!... wiwat!....

Lichocki (n. s.) Ktoby się był spodziewał, że ta hołota... takie regularne wojsko pobije... (głośno) wiwat!...

Andzia do Feliksa. Co ojcu się stało, że tak woła?...

Wodzicki. Zwycięztwo to zawdzięczamy kosynierom, bo kawalerja narodowa uciekła.

Głosy. Niech żyją kosyniery!...

Wodzicki. A przedewszystkiem odznaczył się Wojciech Bartosz Głowacki, chłop ze wsi Rzędowic... i Gwoździcki.. (głosy) niech żyje Głowacki!..... wiwat lud!....

Lichocki (n. s.) Dobrze!... nieprzymierzając zaczną już i chamów okrzykiwać!... (głośno) Wiwat Głowacki!... Wiwat.

Feliks. Czemuż ja tam nie byłem....

Wodzicki. A raport swój kończy nasz ukochany naczelnik temi słowy: (czyta) Narodzie! racz poczuć nakoniec twą siłę, dobądź jéj całkowitéj, chciéj być wolnym i niepodległym; jednością i odwagą dojdziemy do wielkiego tego celu! umysł twój przygotuj do zwycięztw i klęsk... duch prawdziwego patrjotyzmu powinien w obydwóch zachować swą tęgość i energję...

(głosy entuzjazmu za sceną — oraz na scenie Lichocki drze się najbardziéj! wiwat!... niech żyje!... i t. d. głos bębnów, kosyniery robią pół obrotu i zwolna maszerując, śpiewają przy muzyce Krakowiaka.)

Jesce nasa chłopska kosa
Potrafi im utseć nosa,
Wymłociwa ich jak snopy
Cós to?... abo my nie chłopy?...
Jus ich stsepali za katy
Psy Słomnikach nase braty
Siekli, stłukli, zmordowali,
Harmaciska odebrali,
Odebrali wozy bryki
Dukaciki i rubliki
A ci co byli zwawemi,
Pozostawali starsemi,
Głowacki co był Bartosem,
Chodzi teraz jak pan z tsosem,
I Gwozdzickiemu nicego
Nie pragniemys i my tego? (*)

(śpiew się oddala — kosyniery znikają — za nimi tłum krzyczący wiwat — słychać turkot armat a uliczniki krzyczą: „Harmaty zdobyte pod Racławicami!...")

Lichocki (zaglądając w okno.) Jak Boga kocham nieprzymierzając prawdziwe harmaty!... ktoby się był spodziewał!...

Andzia (do Feliksa.) Jakiż to dzień szczęśliwy!....

Scholastyka (do Zawadzkiego.) Po raz pierwszy widzę tyle narzędzi morderstwa...

Zawadzki. Musi być...

(ze strony przeciwnéj, w którą odeszli kosyniery, słychać znów bęben, potem muzykę. — Naczele z toporem Dutkiewicz — potem Kędziora z chorągwią z herbem Krakowa, za nim gwardjá miejska defiluje przed Wodzickiem. — Wszystkie osoby z aktu pierwszego — radzcy (z wyjątkiem Wohlmana) Goljan, w zwykłych swych ubiorach z rozmaitą bronią maszerują wolnym krokiem).

Śpiew z muzyką.

Ty! Coś nadzieją jest naszą
Wodzu! o Polski ozdobo!
Żadne nas groźby nie straszą,
Gdziekolwiek pójdziesz, my z Tobą...
Do broni! stawiajcie się w roty
Liczne krain wojowniki
I pełni męskiéj ochoty
Zbrójcie się w kosy i piki...

(wiwaty — Lichocki wrzeszczy jak opętany — machając czapką).

Małgorzata (do Scholastyki) Panienko!... co się to jegomości stało?... że tak krzyczy?....

*) W miarę wymagań scenicznych i liczby statystów śpiewy te można skracać.

Scholastyka. Zaiste niewiem....

Zawadzki. Musi być, patrjotą został...

(wiwaty, potem bęben, gwardja oddala się zwolna śpiewając).

O rycerze! zwyciężycie!
Precz z serc wątpliwość i trwoga
Ach! jakże słodko nieść życie,
Za ciebie ojczyzno droga!...

(śpiew niknie, słychać jeszcze wiwaty).

Lichocki (obcierając czoło.) Ha!... nareszcie!...

Feliks (trzymając ręce Andzi.) W jakimże dniu szczęśliwym łączymy się ze sobą....

Scholastyka (do Lichockiego) Dlaczego pan brat tak krzyczał?... Jeszcze gardło rozboli!...

Lichocki (patetycznie.) Pani siostro!... Dobry obywatel winien obowiązki swe względem ojczyzny wykonywać wiernie... (ciszéj) Byle niczego więcéj nie żądali, będę im wrzeszczał od rana do nocy!...

(słychać znowu wiwaty — oddalający się Lichocki znów porywa czapkę i wrzeszczy: Wiwat!...)

Zasłona zwolna spada.

Od Redakcji.

Szanownym prenumeratorom dawniéj „**Mrówki**", a obecnie „Tygodnika Wielkopolskiego" oświadczamy, że powieść J. Narzymskiego p. n. „**Ojczym**" rozpoczętą w „Mrówce" nabyliśmy, i wkrótce w piśmie naszém drukować poczniemy.

Od p. J... W... odebraliśmy na cel dobroczynny pięćdziesiąt talarów, z czego niniejszém kwitujemy.

Skrzynka do listów.

P. Drożyńskiemu na Węgrzech serdeczne przesyłamy Bóg zapłać! — Prenumerując nasz Tygodnik w Redakcji, odbierałbyś Pan to pismo już w niedzielę.

P. Ta... Cza... we Lwowie: Wiersza pańskiego przedrukować nie możemy; — umieszczona zaś w num. 24 korespondencja ze Lwowa wyczerpuje przedmiot co do gry pani Modrzejewskiéj; dziękować nam więc tylko wypada za łaskawą pamięć i życzliwość.

X. hr. Dr... w Brukseli: Trzy ustępy z ostatniego powstania p. Edmunda Calliera kosztują 9 złp. — Dotąd nie odebraliśmy nic od kochanego Włodzia, który znać o nas zupełnie zapomniał.

P. Jerz... w Wrocławiu: Oczekujemy nadesłania nam przytoczonych prac i podania warunków.

X. T... M... ze Lwowa: Pomimo najszczerszych chęci korespondencji Jego zamieścić nie możemy.

P. L... Z... w K...: Odesłaliśmy pańską „Irenę", z któréj trudno nam korzystać chwilowo.

P. Dr. Arturowi W... we Florencji: Wyczekujemy wiadomego artykułu o Koperniku; — i inne prace Jego byłyby nam pożądane.

P M... D... we Lwowie: W wiadoméj sprawie zechciéj się Pan zgłosić do Dr. Libelta w Brdowie pod Gołańczą i Dr. Niegolewskiego w Murownicy pod Szmiglem.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.